ROK XXIX NR 4/671 1985.02.28 PL ISNN 0449-9026 CENA 15 ZŁ

karuzela

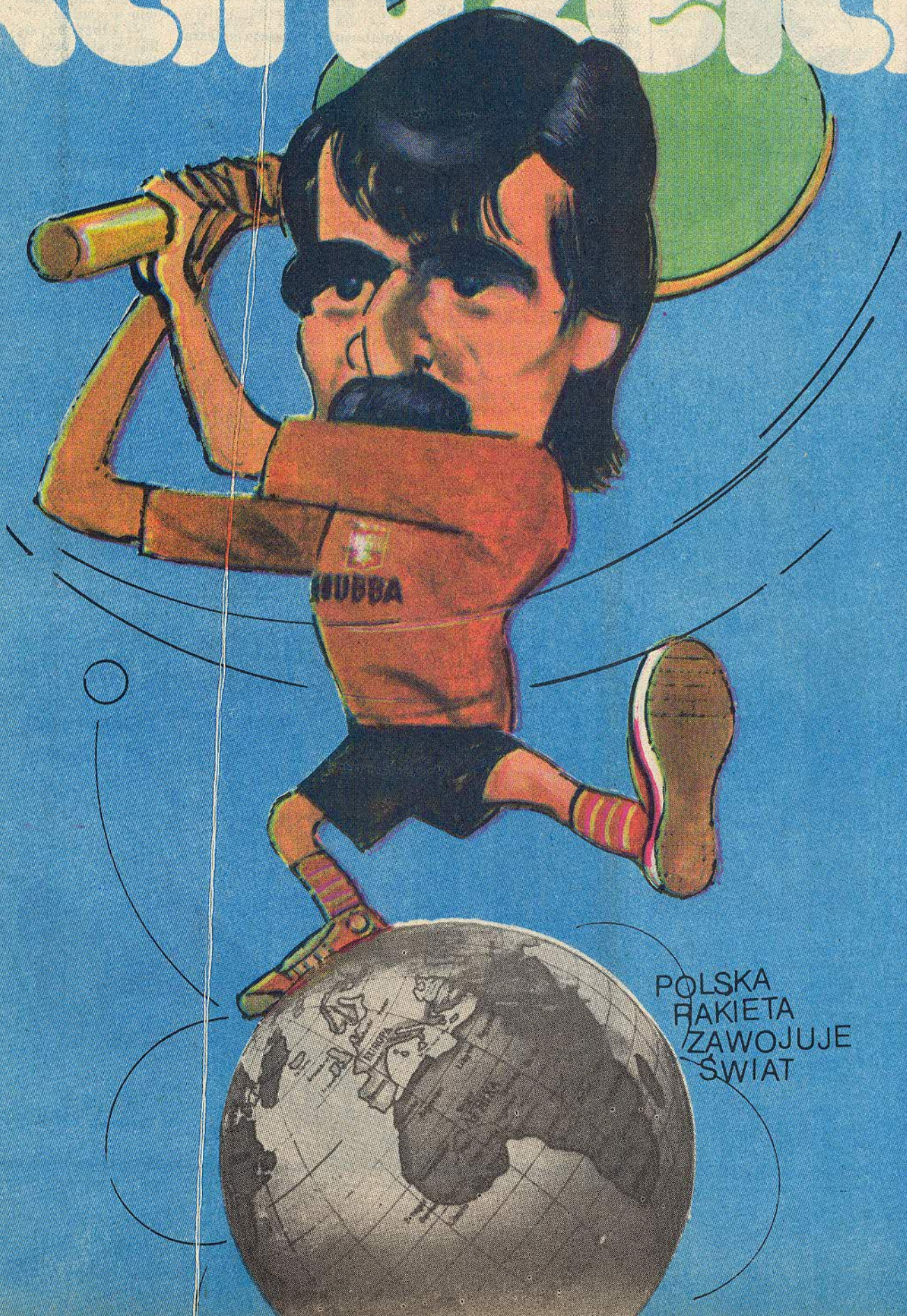

STANISŁAW GRATKOWSKI

o nich się mówi

Jerzy Adamski

krytyk

Wszyscy znamy szekspirowską maksymę, że w każdej metodzie jest pewne szaleństwo. Dlatego też z zainteresowaniem przeczytaliśmy najnowszą książkę Jerzego Adamskiego pt. „Dno oka", w której autor stosując metodę oftalmoskopii (wziernikowania dna oka) bada stan umysłów naszych rodaków. Diagnoza wykazała nieznaczne odbicie od dna.

Kazimierz Koźniewski

literat

Chętnie czytamy felietony, a ich autorzy cieszą się naszym szczególnym zainteresowaniem. Jak powiadali starożytni Rzymianie, ad Rem, czyli tempi Passenti. Więc i lekturę TiT rozpoczynamy od „Ociosywania mgły". A chociaż nic nas nie jest w stanie zadziwić, chcielibyśmy wiedzieć, dlaczego z tej mgły wióry lecą.

IBIS-GRATKOWSKI

Recepta na długowieczność

Nasz redaktor KaBe przeprowadzał wywiad ze stuletnim staruszkiem. Rozmowa nie kleiła się jakoś. Stary pan, z wyglądu całkiem rześki, odpowiadał monosylabami. Ożywił się dopiero, kiedy zdeprymowany reporter zadał mu ostatnie, rutynowe już, pytanie, prosząc o receptę na długowieczność.

— Niech pan napisze, że jeżeli nadal będą rosnąć ceny trumien i pogrzebów, to ludziom zupełnie odechce się umierać.

Komunikacyjne perturbacje

Nasi Czytelnicy nie ustają w narzekaniach na utrudnienia, jakie na skutek tegorocznej zimy stwarza pasażerom komunikacja miejska i nie tylko. Przy okazji podają nam liczne przykłady tych perturbacji. My także z autopsji możemy przytoczyć kilkanaście, ale jeden jest bardzo wymowny. Znajomy lekarz pogotowia opatrywał poturbowaną pacjentkę, a potem rzekł ze współczuciem: — A więc wyciągnięto panią spod autobusu?

— Nie spod, tylko z... autobusu! — odparła starsza dama.

Transport najważniejszy

Władysław G. w Kielcach dojrzał w sklepie meblowym upragniony zestaw wypoczynkowy. Zaklepał go sobie u sprzedawcy i jak szalony pobiegł do domu po pieniądze, a także by załatwić transport. Kiedy po niedługim czasie wrócił po meble z platformą konną dowiedział się, że zestawu już nie ma.

— Ktoś inny wynajął szybszego konia.

W pijanym widzie

35-letni Tomasz S. z Łodzi ułożył się nocą pod zaparkowanym fiatem 125 p. Takiej sytuacji nie przewidział kierowca: zapalił silnik, ruszył i rurą wydechową przejechał po nosie śpiącego, który z kolei przejechał się karetką do szpitala. Wymyty, opatrzony i trzeźwy już Tomasz S. tak zeznał w sprawie wypadku:

— Ułożyłem się pod jakąś wiatą, żeby przeczekać śnieżycę, przyszli chuligani, wykopali spod wiaty i dali po ryju. Pewnie były spite!

Fenomen natury

Jednemu z toruńskich działkowiczów urosły trzy jabłka — każde o wadze 700 gramów; rolnik z Wyborowa wyhodował trzy ziemniaki ważące po kilogramie; w Rydzewie koło Bydgoszczy królową podwórka jest kura znosząca jajko trzy razy większe od jaj normalnych II gatunku. A panu Kazimierzowi P. z Warszawy trzy razy w okresie gwarancyjnym wymieniano skrzynię biegów w maluchu.

— To jeszcze nic — oświadczył mu mechanik — gdyby pan miał nową pralkę, jak moja, to dopiero by się pan przekonał co to znaczy cud natury.

MAREK POLAŃSKI

rzuty osobiste

Usłyszałem (-am) – przekazałem (-am)

— Nie mogę zrozumieć, dlaczego codziennie chodzisz do tej knajpy.

— Bo od pewnego czasu grywa tam bardzo interesujący kwartet smyczkowy.

— Czy nie lepiej pójść do filharmonii?

— A kto w filharmonii postawi mi wódkę?

Elżbieta T. — Tarnów

* * *

— Patrz, UFO!

— Gdzie?

— Tam, nad drzewami!

— To nie UFO, to helikopter.

— Ale już dziesięć minut wisi w jednym miejscu.

— Pewnie skończyła mu się benzyna.

Radosław W. — Łódź

* * *

Jest niedziela po wolnej sobocie. Zbliża się północ. Mąż gasi telewizor, prostuje kości, ziewa i zwraca się do żony:

— Zdaje się, że mówiłaś coś, kochanie?

— Tak, ale to było wczoraj rano.

Anna S. — Gorzów Wlkp.

* * *

— Zapamiętaj, kochany, że nie mogę dać ci niczego poza szaloną miłością.

— Nie przejmuj się, miła, wiele młodych par zaczyna od zera.

* * *

— Co byś zrobiła, gdybym cię teraz objął i pocałował?

— Oczywiście, zawołałabym ojca.

— Wyrzuciłby mnie z domu?

— Tata jest w delegacji służbowej za granicą.

Janina F. — Łódź

* * *

W nocy dzwoni telefon.

— Krycha?

— Tak.

— To ja. Zaraz wracam do domu.

— Tak.

— Czy mógłbym przyprowadzić na chwilę paru przyjaciół?

— Tak.

— Przyjdę z gośćmi. Czy dobrze zrozumiałaś?

— Tak.

— Taaak?

— Tak.

Mężczyzna milknie, a po chwili pokornie:

— Najmocniej przepraszam, ale widocznie pomyliłem numer telefonu.

Agata D. — Warszawa

— Nie, nie, nie! — mówi dziewczyna. — Pod żadnym pozorem nie pójdę do twego mieszkania.

— Ależ dlaczego?

— Po prostu boję się o siebie.

— Nie masz się czego obawiać — uspokaja ją młody człowiek. — Mam w domu psa obronnego.

Anka Wieżycka — Kalisz

* * *

— Czy podoba się panu, panie profesorze, malowanie oczu lansowane przez studentki?

— Cóż, nie powiem, żeby budziło to mój zachwyt, ale podoba mi się skutek...

— Nie rozumiem.

— Znacznie rzadziej płaczą, gdy stawiam im dwójkę w indeksie.

Piotr W. — student II roku UJ

* * *

— A zatem oskarżony dokonał aż siedmiu włamań w ciągu jednego tylko tygodnia — konstatuje sędzia.

— Tak jest — z godnością potwierdza włamywacz i dodaje: — Gdyby wszyscy, jak ja pracowali również w wolne soboty i niedziele, nasze państwo byłoby krainą mlekiem i miodem płynącą.

Wiesław M. — Poznań

* * *

Podczas, gdy małżonka rozpakowuje walizy w hotelowym pokoju, mąż postanawia odbyć krótki rekonesans po kurorcie, a przy okazji kupić widokówki. W pobliżu hotelu, na narożniku uliczki, zaczepia go atrakcyjna dziewczyna i obiecuje za 50 dolarów wszystkie przyjemności tego świata.

— Proszę dać mi spokój! — zdecydowanie odpiera propozycję zaczepiony. — Nie stać mnie na roztrwonienie pięćdziesięciu dolarów.

Dziewczyna prycha pod nosem i odchodzi.

Po godzinie ten sam jegomość wybiera się ponownie na spacer, tym razem już z małżonką. I znowu, na rogu ulicy, owa atrakcyjna dziewczyna, która uważnie lustruje wzrokiem jego towarzyszkę i mówi dostatecznie głośno:

— Ale na roztrwonienie 20 dolarów toś sobie jednak pozwolił!

Tadeusz G. — Rzeszów

MAREK POLAŃSKI

* * *

Zorro odwiedza nocą pewną zamożną damulkę. Konkretnie — żonę szeryfa. Chcąc uniknąć fatalnych niespodzianek wiąże swego konia tuż pod oknem sypialni, aby w razie czego móc skoczyć prosto w siodło. W pewnym, zupełnie niestosownym momencie rozlega się tupot na schodach. Zorro błyskawicznie naciąga pantalony i wyćwiczonym odbiciem wyskakuje z pierwszego piętra. Tymczasem przerażona damulka uchyla drzwi i ...widzi konia. Koń szepce:

— Chciałem dyskretnie powiadomić, żeby mój pan uwiązał mnie po drugiej stronie domu — pod oknami kuchni.

— Dlaczego pod oknami kuchni?

— Bo pod oknami twojej sypialni waruje szeryf.

Jolanta N. — Warszawa

Wierny sługa z tasakiem

1 Sobotni horror włączyłem z opóźnieniem, właśnie kiedy wierny kucharz wezwany dzwonkiem rozłupał swemu panu głowę tasakiem. Dalszy ciąg tej intrygi już mnie nie interesował — od służby wymagam manier choć w miarę eleganckich. Zresztą okazję do dreszczy akurat mieliśmy własną, domową.

2 Nic pewnego na tym świecie. Choć przyszłością świata będzie wielka i powszechna stabilizacja (za to właśnie płacą pobory i rekompensaty politykom), chwilowo osiągnąć można taką tylko w rozmiarze kameralnym czterech własnych ścian. Niestety i ona — oparta na prądzie, gazie i wodzie — jest równie krucha, jak zdrowie oparte na książeczce ubezpieczalni i dobrym humorze rejonowego. W piątek wieczorem, kiedy wszyscy dookoła cieszyli się na trzy ustabilizowane wieczory i na horror z kucharzem, wyłączono gaz. Początkowo nikt na to nie zwrócił uwagi, bo wszyscy już byli po ciepłym, ale kiedy gaz nie pojawił się i w sobotę — zaczęły się lamenty.

Tu będzie właśnie o lamentach. Ich motywy wiodące były następujące:

a) gaz w domu musi być, bo bez gazu życie jest niemożliwe,

b) skoro gazu nie ma, ktoś powinien coś zrobić,

c) zrobić trzeba to szybko, bo ludzie chcą jeść i pić.

Kiedy poglądy te zostały wyłożone w klatce schodowej wielokroć, a bez skutku, wytoczono na schody argument najbardziej chwytający za gardło i mówiący do wyobraźni i serc: — Gaz trzeba włączyć, bo dzieci muszą pić mleko!

Zaraz też pojawiły się głosy, że natychmiast i choć na chwilę trzeba odkręcić zawór bezmyślnie zaplombowany przez pogotowie techniczne. Choć zaworu szczęśliwie nikt nie ruszył, bo dozorca uparł się jak kozioł, już sama myśl, że ktoś przecież jednak może zejść do piwnic, mogła popsuć humor.

Nowoczesny blok mieszkalny to mrowisko zaludnione przez setki osobników. Każdy z nich, jak wykazuje nauka, jest inny — ten zbyt mądry nie jest, ale drugi już głupek kompletny, wszyscy natomiast najbardziej cenią potrzebę własną i najwyżej stawiają mądrość własnej decyzji. Dlaczego więc ktoś z tych kilku setek nie miałby wcielić w życie tej własnej decyzji i pomajstrować przy zaworze z myślą o dzieciach?

Nowoczesny blok to ponadto konstrukcja technicznie prosta. Złożony z typowych elementów płytowych, w przypadku eksplozji po raz drugi składa się szybko i równo w sposób typowy dla konstrukcji znormalizowanych.

Zawór zakręcono z powodu pęknięcia rury. Z powodów nawet mniej wizualnych kiedyś rozpadła się rotunda, a w ostatnią sobotę willa w Republice Federalnej Niemiec. Ale — dla kogo te przykłady i argumenty? Willa poszła, ale na schodach stają jakieś i pieją: — Włączyć gaz, dzieci chcą pić!

Oto nasza staropolska przekora: Ktoś nam zakręcił, no to my mu odkręcimy! No i nasza sarmacka fantazja: A my, panie dzieju i tak zrobimy swoje! No i logika serdecznych przyjaciół dzieci wreszcie: Dzieci chcą pić, trzeba więc wysadzić chałupę, wówczas im się odechce.

Na szczęście stał się cud. Gazu nie włączono, lecz za to wyłączono ogrzewanie. Skończyły się krzyki na temat gazu, nikt nie miał już sił na protest w sprawie ogrzewania. A kiedy jeszcze — do kompletu — odłączono ciepłą wodę, zrobiło się zupełnie przyjemnie i wszyscy poszli do łóżek szczęśliwi, że zimna wciąż w rurze.

Szczęście bowiem i stabilizacja to pojęcia względne, a człowiek ostatecznie jednak do wszystkiego się przyzwyczaja, a nawet sobie nowe chwali.

Z czego zresztą wnioski nazbyt optymistyczne też nie płyną.

3 Jeszcze na ten sam temat:

W czwartek w moim mieście w śródmieściu, przy sklepie „Kopernik", w chodniku była dziura. W dziurze stało dwóch i grzebało łopatami przy rurze, a nad dziurą stała tablica: „Uwaga, gaz, nie podchodzić z otwartym ogniem!".

Wszystko było tak jak trzeba, a że do tego był tęgi mróz, nad dziurą przy tablicy paliło się ognisko.

JANUSZ PRZYBYSZ

PS: Pan Taranoga do heretyka Angina w czwartym odcinku serialu „Shogun" na widok pirackiej floty przed rufą: — Co byś zrobił na moim miejscu? — Wspomniany Angin do pana Taranogi: — Wystrzeliłbym z armaty, ale nie mam armaty.

Tyle odnotowuję jako wspomnienie po tym serialu ku rozwadze wszystkich zwolenników armat, którzy akurat nie mają armat.

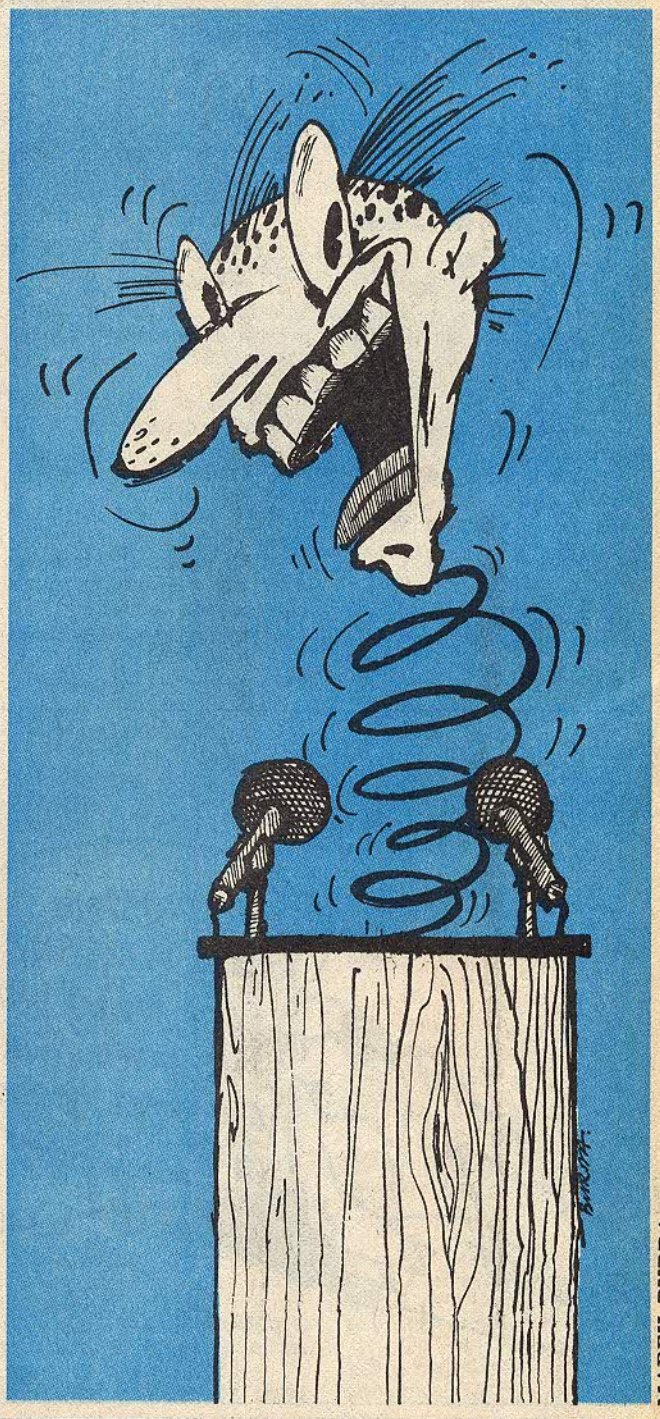

MAREK BURDA

Magda i Balbina

Przyjechały kiedyś obie do naszej wioski małym fiatem i zadomowiły się na stałe. Magda kupiła kawałek bagnistego gruntu, postawiła na nim przyciągniętą nie wiadomo skąd pakamerę, ogrodziła całość drewnianym płotem i czyni wrażenie całkiem zadowolonej z życia. Balbina też.

Trochę dziwne są jakieś takie, łażą ciągle po lesie, po zagajnikach, moczarach, pagórkach. Właściwie to jedna spaceruje, a druga nieustannie dookoła niej krąży. Ale szkodliwe nie są, zwłaszcza Magda, bo Balbina czasem jakąś tam gadzinę pogoni. A mordę ma straszną.

Magda da się lubić, choć zrozumieć ją trudno, jak każdego kto woli ciężej niż lżej, gorzej niż lepiej. Wielka, ale nie wyniosła, w okularach, ale spostrzegawcza, na szczęście nic nie notuje, nie protokołuje, więc chyba taka niebezpieczna nie jest. Zresztą diabli ją wiedzą.

W końcu w Laskowcu ludzie nie są palcem robieni — jak powiada Gienek Maniewski — i każdy i tak wie, że coś się za tym kryć musi, gdyż przecież bez celu by nie chodziła codziennie po lesie i bez sensu po polach i łąkach. Na wszelki wypadek lepiej być ostrożnym. Magda się za dużo rozgląda, raz w górę patrzy, raz w dół, a czasem nawet bardzo nisko. Czegoś widocznie szuka. Ba, ale czy taka obca zaraz powie czego szuka? Choć z drugiej strony trzeba otwarcie powiedzieć, że jest uczynna, życzliwa, no i uprzejma. Albo taką udaje.

My tu na wsi przyzwyczajeni byliśmy dotychczas, że która latorośl ino trochę odrośnie, podszkoli się, zaraz ucieka do miasta. Starzy ludzie opowiadają, że kiedyś dawno, dawno temu tzn. w latach pięćdziesiątych naszego stulecia cała sąsiednia wioska wyemigrowała do miasta. A było to tak, że najpierw wyprowadził się sołtys, który zdobył przyczółek w starej łódzkiej kamienicy jako cieć. Za sołtysem w ciągu paru lat przenieśli się do tej kamiennej budowli wszyscy. Budynek można do tej pory oglądać, gdyż stoi w tzw. „Parku Śledzia", naprzeciw restauracji „Arkadia". A „Arkadia", wiadomo — kraina szczęścia, czyli ziemia obiecana.

Teraz ten jednokierunkowy ruch ze wsi do miasta został trochę zakłócony, coraz częściej zdarza się w odwrotną stronę, a kto brodzi pod prąd jest podejrzany, jeśli nie o złe intencje, to przynajmniej o brak piątej klepki. W mieście z takiego kpią, a na wsi się śmieją. A w ogóle i tam, i tu budzi nieufność, gdyż nie wiadomo co o takim myśleć, jako że ciągle śmiać się nie można, ponieważ gruczoły śmiechowe szybko się eksploatują.

Co prawda, ci którzy przyjeżdżają z miasta na wieś w przekonaniu, że tam chleb jest lżejszy, rozczarowują się równie szybko, jak ci, co jadą z tym samym przekonaniem ze wsi do miasta. Test ziemi jest bezwzględny. Majstra w fabryce czasem można jeszcze oczarować, ale ziemi się nie oszuka. Miejski cwaniak na wsi ma do wyboru: albo ugiąć się pod ciężarem codziennych, gospodarskich powinności, albo wracać tam skąd przybył.

Oczywiście, zdarzają się przypadki i to nawet częste, że ludzie z miasta zdają na wsi egzamin, ale wcale nie ci, spośród nawiedzonych, fanatycznych miłośników przyrody, kwiatków, bratków, lecz pewien rzadko już spotykany gatunek ludzki, który zdołał przechować w sobie upór, zawziętość, roztropność i cierpliwość. U nas we wsi takim typem jest Olczyk, taksówkarz z Łodzi, który pewnego dnia sprzedał samochód, kupił traktor, osiedlił się na Zborowskiem i znakomicie gospodaruje. Jeszcze nie wszyscy we wsi go uważają lecz na jego pole przyjemnie popatrzeć.

Magda z Balbiną też wzięły się solidnie do roboty, i to chyba od tej strony co trzeba. Na początek posadziły krzewy jeżyny bezkolczastej. Zobaczymy co z tego wyniknie. Reprezentują one bowiem nowy model działki tzw. rekreacyjno-produkcyjny. Warto ten eksperyment śledzić, rzecz jasna, jeśli go nie utłucze jakieś nowe zarządzenie, o które u nas nie jest znów tak trudno.

Jeśli do tej pory pewna część opinii społecznej traktuje dwuznacznie chłoporobotników, jako niepełnowartościowych pracowników, dlaczego ma akurat bez zastrzeżeń odnieść się do robotnikochłopów, nie mówiąc już o inteligentochłopach. Zawiść i małostkowość mają u nas duży dorobek destrukcyjny.

Zapomniałem dodać, że Magda jest dziennikarką, a Balbina rasową bokserką.

KAROL BADZIAK

ANDRZEJ STOK

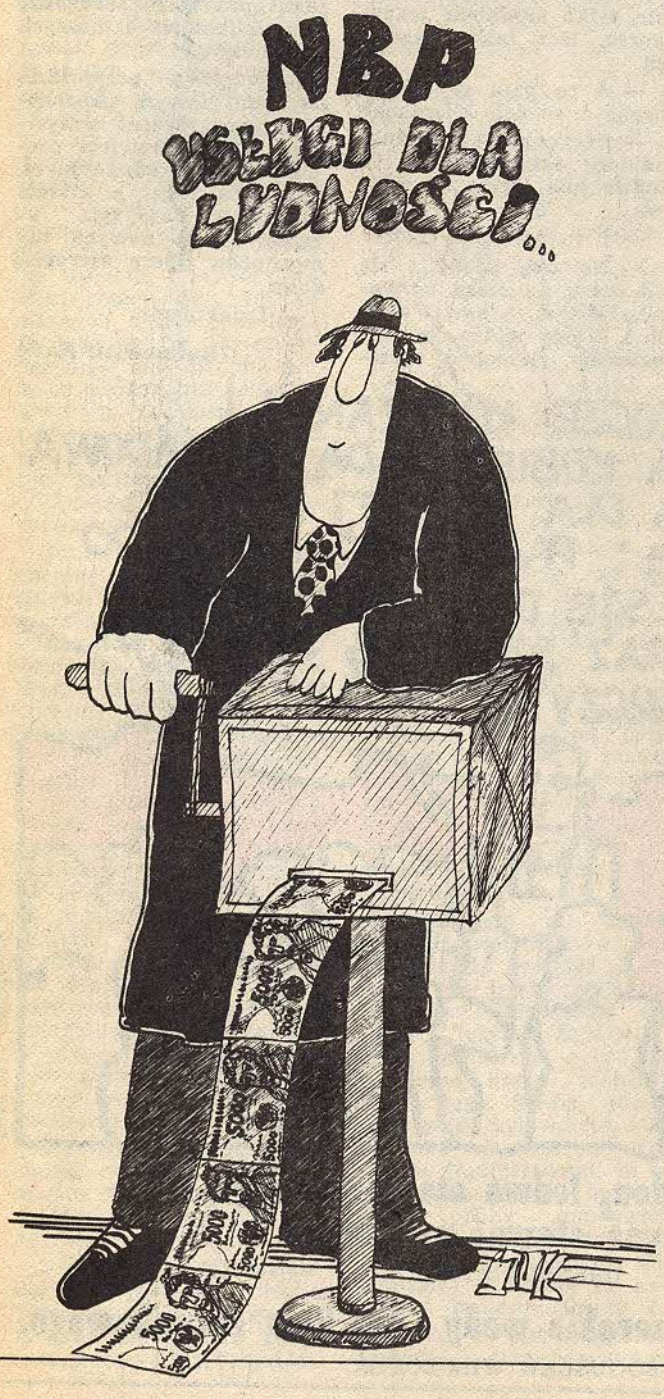

Ulubiony kolor

Pani KRYSTYNA JANUSIK pracuje na bardzo ryzykownym stanowisku, pełnym zasadzek, niebezpieczeństw i to od dwudziestu paru lat bez żadnej przerwy, z wyjątkiem, oczywiście, urlopów wypoczynkowych. Jest to praca obfitująca w niesłychanie silne naprężenia z zewnątrz i od wewnątrz, z góry, z boku, od spodu. Wzbudziło to nasze zaciekawienie, a także podziw i szacunek. Albowiem pani Krystyna Janusik jest kierownikiem Działu Sprzedaży Samochodów w łódzkim „Polmozbycie".

— Jak to pani robi?

— Zwyczajnie, staram się być ludziom życzliwa, bezinteresowna, a zarazem lojalna wobec przedsiębiorstwa, z którym związana jestem na dobre i na złe, którego interesy i reputacja nie są mi obojętne. Pan sobie nie wyobraża, jak u nas łatwo człowieka uszczęśliwić, wystarczy odrobina uprzejmości, kultury, zrozumienia.

— Już to sobie wyobrażam: człowiek przychodzi do was pieszo, a wyjeżdża samochodem. Niestety, waszym klientom coraz trudniej sobie wyobrazić, że za swoje ciężko zarobione, uciułane pieniądze otrzymają samochód dobrej jakości, bez wad, usterek, o wymarzonym kolorze. Jak to jest naprawdę?

— Nie jest tak źle i tak czarno, wiele spraw rozwiązują przeglądy gwarancyjne. Nasi drodzy klienci — zapewniam to z całą odpowiedzialnością za słowo — całkiem zbytecznie usiłują demoralizować pracowników naszego magazynu, wmuszając w nich na placu — powiedzmy delikatnie — napiwki, za wybór wyjątkowego, ich zdaniem, egzemplarza pojazdu. Kiedy wszyscy są traktowani wyjątkowo, nikt nie jest traktowany wyjątkowo.

— Wiadomo jednak, że w czasie transportu pojazdy, mówiąc jeszcze delikatniej, są dewastowane, pozbawiane często pewnych chodliwych części, kół, akumulatorów itp. Czyż to nie jest zasmucające, że „Polmozbyt" jest taki bezsilny, bezradny?

— Rzeczywiście może niepokoić, że kolej nie potrafi w pełni zabezpieczyć cennych ładunków jakie przewozi. Mogę jedynie zapewnić, iż nam się nie zdarzyło sprzedać komuś samochodu bez kół czy akumulatora. Uzupełniamy we własnym zakresie te skradzione akcesoria.

— Co pani czuje widząc jak maluch zakupiony w waszej firmie zaraz za bramą drożeje? Nie buntuje się w pani dusza handlowca?

— Sytuacja jest faktycznie osobliwa, kiedy samochód zakupiony w sklepie jest tańszy niż na giełdzie. Widocznie u nas stał się obiektem tak wielkiego pożądania, że ludzi nie odstrasza ani cena, ani stan techniczny, ani nawet reglamentacja benzyny.

— Ale właśnie, dlaczego?

— Wydaje mi się, że sprawiły to wolne soboty, które zmieniły radykalnie model wypoczynku, zwiększając zapotrzebowanie równocześnie na działki i na samochody dowożące tam ludzi.

— Jaki jest ulubiony kolor Polaków?

— Czerwony, bo praktyczny, widoczny na szosie, zmniejszający poczucie niebezpieczeństwa. A co najciekawsze, znacznie większym powodzeniem cieszą się samochody z dodatkowym wyposażeniem, z całą tą ornamentyką nie zawsze potrzebną. Można z tego wnioskować, że dla wielu pojazd jest nie tylko środkiem transportu, lecz także prestiżu.

— A co pani prywatnie myśli o swoich klientach?

— Przynajmniej w dniu odbioru samochodu są to ludzie nad wyraz szczęśliwi...

— I to już wszystko?

— No cóż, zdarzają się od czasu do czasu nerwowi, kłótliwi, a nawet złośliwi. Kiedy widzą, że upatrzony samochód dostaje się w kolejności komuś innemu, potrafią zabrać kluczyk, zmuszając nas tym samym do wymiany całej stacyjki.

— A kiedy są najbardziej nieszczęśliwi?

— Gdy dysponujemy tylko jednym kolorem. Za bardzo im się nie dziwię, nie mając wyboru co do marki, gdyż tę sprawę przesądził szczęśliwy los lub asygnata, chcą pogrymasić, choć przy wyborze koloru.

— Proszę na koniec o jakąś praktyczną radę dla pani klientów, a naszych czytelników.

— Warto po przyjeździe do domu nowym samochodem poprzykręcać wszystkie śrubki, albowiem producent w produkcyjnym pośpiechu mógł o którejś zapomnieć. Poza tym użytkownikom nowych samochodów życzę szerokiej drogi.

— Dziękujemy.

Rozmawiał: KaBe

- KOCHANE, UROCZE KOLEŻANKI! Z OKAZJI DNIA KOBIET RADA ZAKŁADOWA PRZYGOTOWAŁA DLA KAŻDEJ Z WAS NIESPODZIANKĘ: PACZKĘ PROSZKU DO PRANIA, EMULSJĘ DO PASTOWANIA, SZMATĘ ORAZ SZCZOTKĘ BEZ KIJA. KIJ DOSTARCZYMY PÓŹNIEJ...
HALINA SIBIŃSKA

● **Niejeden, ledwo stanął na nogi, zaczyna stawać na głowie.**

URSZULA ZYBURA

● **Puścili go na szerokie wody – bez koła ratunkowego.**

BOGUSŁAW WIECZOREK

Seks i zarządzanie

Tytuł zapewne odstraszy większość czytelników. O seksie pisze się i mówi tak wiele, że mało kto już wytrzymuje bez narażenia na szwank poczucia równowagi. Inflacja tej tematyki zbiegła się na szczęście z inflacją ogólną. Jesteśmy rozdrażnieni, ale jakoś wytrzymujemy.

Padają nawet nowe pomysły. Czytelnik z Katowic, po obejrzeniu „Ostatniego tanga w Paryżu" i przestudiowaniu całej prasowej dyskusji w sprawie masła, przesłał nam uwagi, które — jak sądzimy — warte są przemyślenia: „Żarty żartami, ale nie stać nas ani na rozrzutność, ani na kolejne podziały społeczne. W sprawie masła — wieś byłaby znowu uprzywilejowana. Proponuję generalne przejście na inne tłuszcze, z wykorzystaniem rezerw tłuszczów roślinnych. One się najlepiej do tego nadają. Podsuwam też myśl, aby podjąć próby z olejami napędowymi. Uważam, że nasza nauka podejmie wyzwanie, zwłaszcza po kolejnym oddzieleniu szkolnictwa wyższego od postępu naukowo-technicznego".

Zupełnie inny punkt widzenia charakteryzuje młodzież. Tym się zajmiemy szerzej. Zainspirowała nas mianowicie opinia Koła Młodych przy Zarządzie Środowiskowym we Wrocławiu: „W ubiegłym roku odbyliśmy cykl dyskusji o roli pierwiastka męskiego. Zapraszani licznie prelegenci zawiedli nas całkowicie. Ciągle zbaczali na tory łóżkowe, tak jakby wszystko kręciło się wokół członka lub jego zastępcy. Prasa młodzieżowa też nas zanudza jednostronnymi poradnikami. Mamy szczerze dość prymitywizmu w pojmowaniu seksu. Chcemy przejść na etap działania w sferze sublimacji popędów płciowych. Czyż nie mamy racji i prawa do jej bronienia?"

Nie bardzo wiemy o co chodzi autorom tego manifestu. Tym chętniej przyznajemy im rację i prawo do racji.

Tak, młodzi przyjaciele. Seks jest wszędzie i różne przybiera postaci. Jesteśmy wraz z wami przeciw uproszczeniom i schematom. Dość dogmatyzmu, który całe bogactwo seksualnego objaśniania świata sprowadza do praw tarcia ciał męskich i damskich!

Seks występuje w życiu publicznym przede wszystkim. Najłatwiej odkryć jego obecność w sferze zarządzania, szukajmyż więc wspólnie pierwiastka męskiego. Kwestia ta nęka młodzież całego kraju, skąd napływają setki listów.

„Mój dyrektor jest, za przeproszeniem, baba — pisze do nas Monika F. — Własnej radzie pracowniczej gotów się oddać trzy razy na dzień. A ze zwierzchnikami rozmawia w stylu miłości francuskiej. Niby to nie jest już zboczenie według najnowszych badań, ale mógłby się trochę opanować w miejscach publicznych".

„Nasz kierownik to niewątpliwy ekshibicjonista. Jak w starym kawale — wrzeszczy, że mam pokaże. Niczego w rezultacie nie pokazuje, bo na pewno nie ma czego. Tylko się ślini. Czy niepełna wartość seksualna stanowi wystarczającą kwalifikację do pełnienia funkcji kierowniczych?" — dzielą się wątpliwościami pracownicy z Sieradza.

„Przyjechał do nas wysoki dostojnik. Ze stolicy, ma się rozumieć. Nadymał się, puszył, tokował w imię pewnej koncepcji i widoków na przyszłość. Chciał nas zwyczajnie uwieść na piękne słówka. Jak przyszło co do czego, to znaczy, żeby podjął prostą decyzję, żeby coś postanowił — wykręcił się flanelą. Klasyczny przykład trudności ze wzwodem" — donosi z Lublina Jan S.

„Obserwuję od dawna naszych prominentów wojewódzkich. Przecież są sytuacje, że trzeba wyjść do drugiego człowieka, coś zrobić, czymś zapalić, z kimś powalczyć, o coś się pospierać, kogoś zachęcić. Nic z tego. Siedzą gdzieś w ukryciu, zadowoleni, kiedy nikt ich tam nie wypatrzy. Podejrzewam, że są to administracyjni masturbanci. Niby samogwałt zdrowiu nie szkodzi, ale naród przyjemności nie ma żadnych" — skarży się aktywista gminny Gerard Ł.

„Prezes F. jest narcyzem. Donoszę o tym bez urazy osobistej, bo sama jestem nimfomanką" — przekazuje nam obywatelka podpisana „Szparka Sekretarka".

„Nasi nauczyciele to przysłowiowe d... wołowe. Płatne, bezpłatne czy po prostu źle płatne — nie ma znaczenia. Chciałybyśmy obejrzeć choć jednego prawdziwego mężczyznę nie tylko w kinie. Jedynym prawdziwym mężczyzną jest w naszym gronie pani mgr Zuzanna R. Szkoda, że jest kobietą, bo i tak kariery nie zrobi" — frustrują się uczennice i uczniowie klas maturalnych z Krakowa.

I tak dalej we wszystkich listach. Motyw zaniku pierwiastka męskiego powtarza się z kalendarzową regularnością. Czytelnicy podejrzewają pojawienie się nowej zasady współżycia społecznego. Kobiety równouprawniły się formalnie i na tym skończyła się ich rola. Oddają się zresztą obecnie rozkoszom urlopów wychowawczych i rozpuście towarzyskiej w kolejkach. Ale gdzie są mężczyźni, prawdziwi tacy?

Odpowiedzi udziela nam Profesor Nadzwyczajny. Pośrednio, przez analogię do surowych praw natury. W dziele „Życie seksualne dzików" czytamy: „W okresie normalnego rozwoju zdrowego stada, rej wodzą osobniki inteligentne, silne, twórcze. Zmienia się wszystko w sytuacji zagrożenia, rozpadu więzi, kryzysu stadnego. Stan ten rodzi zapotrzebowanie na jednostki, które wyrażają ogólny charakter grupy. W stadzie prym zaczynają wieść dewianci, neurastenicy, aż wreszcie na czoło wysuwają się mutanci — samcy z wyglądu, które są samicami z charakteru. Stado dzików poczyna się taplać w okolicznym błotku. Słychać stamtąd chrząkanie. Życie seksualne zamiera. Chyba, że jakiś prawdziwy dzik błyśnie szablami i poderwie się do czynu. To jest jedyna szansa dla wszystkich" (s. 207).

Radzimy młodym czytelnikom przestudiowanie całego dorobku autora powyższych słów. I ewentualnie nadesłanie kolejnej porcji listów. Temat będziemy kontynuować.

JULIUS

ANDRZEJ STOK

JORDAN POPOV

Przezorność

Dorodny lew gnuśnie wylegiwał się na piasku.

Bawoły, antylopy gnu, zebry i żyrafy zataczały ogromne koła okrążając miejsce, gdzie leżał król zwierząt, choć trzy kroki od niego jakiś zając z apetytem chrupał korzeń.

Zza krzewu wyskoczył inny szarak. Ogryzł suchą gałązkę i prześliznął wzrokiem po lwie. Drapieżnik pospiesznie zwinął się w kłębek, aby nie tracić autorytetu i zamknął oczy.

Z innego krzaka wylazły dwa dorodne zające. Zbliżyły się do olbrzyma i, podczas kiedy jeden drapał go po łopatce, drugi przywiązywał długą wstążkę w miejscu, gdzie na końcu ogona wyrasta pędzel włosów.

Hiena nie wierzyła własnym oczom.

— Jak to możliwe, Wasza Łaskawość? — zapytała uniżenie. — Czemu Wasz Majestat na wszystko pozwala jakimś tam zającuchom wyłażącym zza byle krzaczka?

— Głupiaś! — krzyknął Lew. — Na pustyni wszystko jest oczywiste. Ale w przypadku tych cholernych krzaków nie wiem, czy za nimi nie siedzi ktoś, kto inspiruje zające.

(p)

IBIS-GRATKOWSKI

JERZY DĘBSKI

DOMOKRĄŻCA

Przychodził dwa razy w miesiącu i zawsze z tą samą propozycją.

— Polecam państwu świeżutkie podroby, a już specjalnie wątróbkę.

Wpuszczony do mieszkania wykładał z torby swój towar, rzeczywiście zawsze świeży i bardzo tani. Całą jednak przyjemność płynącą z tych korzystnych transakcji psuła nam niemiła i budząca odrazę powierzchowność domokrążcy. Ten staruch, niedużego wzrostu, chudy, oczka miał chytrze rozbiegane, nos krogulczy, szyję brzydko pomarszczoną, a głos nieprzyjemnie skrzekliwy. Ale było w nim także coś, co wzbudzało współczucie. Może to, że był tak chudy i wymizerowany.

— Proszę pana — powiedziałem któregoś dnia. — Myślę, że powinien pan bardziej zadbać o siebie. Wygląda na to, że pan oferując nam takie przysmaki, sam nie dojada.

— Niech się pan nie martwi — zaskrzeczał staruch. — Ja już nie mogę na to patrzeć. Przejadło mi się. Ja wolę coś innego, coś na mój gust. A propos, masz pan może jakiegoś kielicha?

Miałem. A kiedy staruch już sobie podchmielił zagadnąłem go wprost:

— Niech mi pan powie, jak pan to robi? Bo nie mam wątpliwości, że pracuje pan w zakładach mięsnych. Ciekawi mnie tylko, w jaki sposób pan to wynosi?

Zaśmiał się ochryple.

— Ja nie dlatego — tłumaczyłem się — żeby panu zaszkodzić. Po prostu chciałbym się pośmiać z ich systemu kontroli.

— To wcale nie jest tak — zachrypiał.

— A jak? — nalegałem.

Staruch zasępił się i napełnił kieliszki.

— No to siup w ten głupi dziób!

Wypiliśmy. Staruch zakąsił i powtórzył:

— To wcale nie jest tak.

— A jak? — niecierpliwiłem się.

— Słyszał pan może o facecie nazwiskiem Prometeusz?

— Oczywiście — powiedziałem. — To był ten, który wykradł bogom ogień i za karę został przykuty do skały, a sęp wyszarpywał mu ciągle odrastającą wą.... O, Boże! — zakrzyknąłem. — Nie! To nieprawda!

— Prawda — zaskrzeczał staruch. — Trafił pan. To właśnie ja jestem tym sępem! □

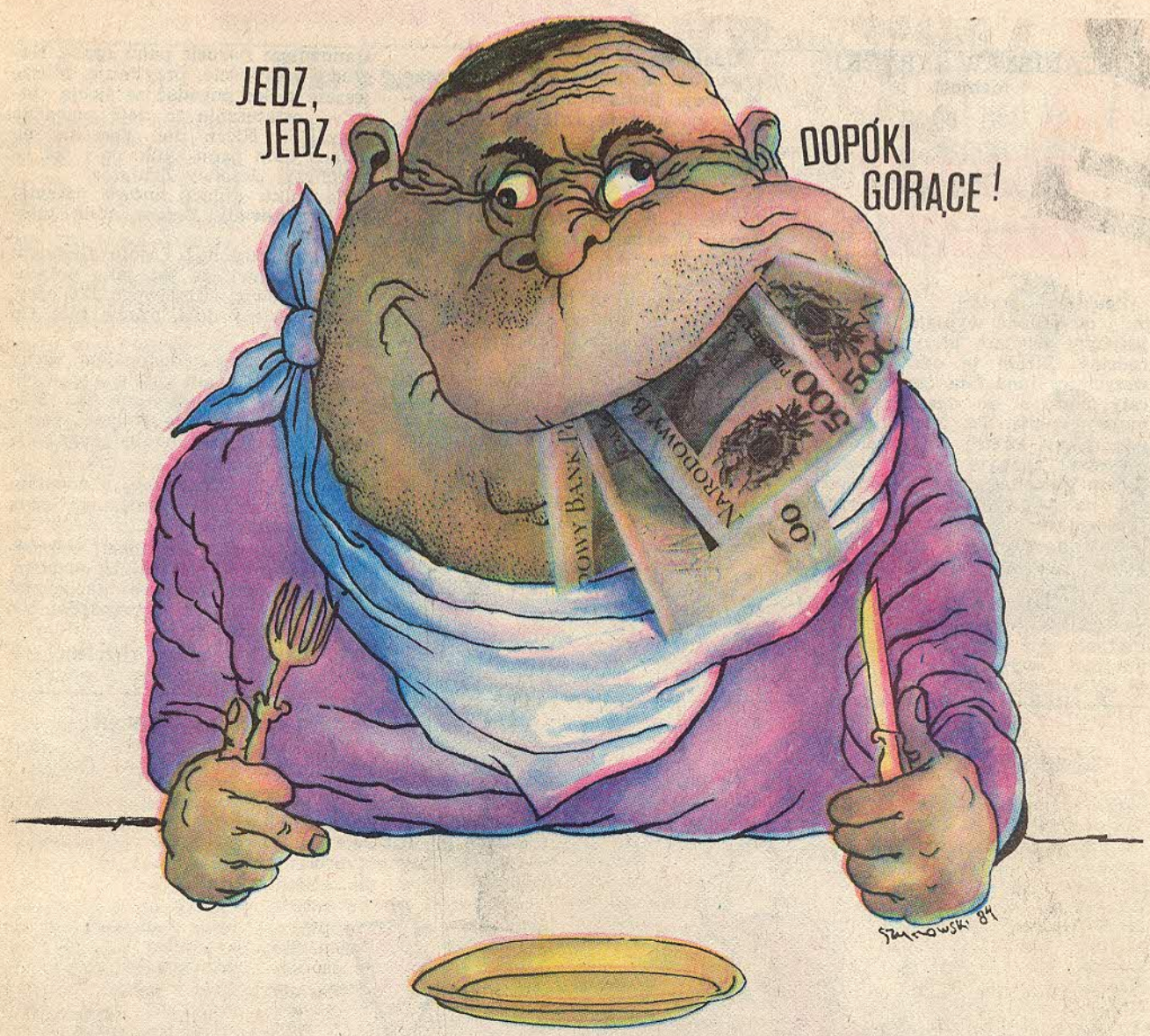

GRZEGORZ SZUMOWSKI

HENRYK SADOWY

PRZYJACIEL

Wiem, że mnie nienawidził.

Nie może bowiem pozostać obojętny człowiek, który od rana do końca urzędowania stoi w kącie i mnąc w ręku króliczą czapkę pokornie czeka na ostateczny tego dnia werdykt: „Jeżeli dotąd nie przywieźli do magazynu, to już i nie przywiozą". A na zakończenie łaskawie żartował: „Może jutro coś rzucą!" Potem kierownik działu technicznego administracji z trzaskiem zamykał biurko i obaj udawaliśmy się do swoich domów. Z tym, że ja — do mieszkania z ciekną rurą do zlewu.

Ta scena powtarzała się z dręczącą monotonią.

Stale byłem spławiany. Hydraulik odsyłał mnie do magazyniera, a magazynier znowu do szefa technicznego.

Kierownik próbował mnie napuścić na „znakomitego prywatnego fachowca, który ma zakład w tej dużej skrzyni za placem zabaw". Niestety, hydraulik-emeryt oferował wykonanie usługi w październiku przyszłego roku.

Bonza od pionu technicznego kusił złożeniem nań zażalenia u prezesa spółdzielni mieszkaniowej. Nie chciałem psuć stosunków z kierownikiem, a ponadto za daleko mi było jeździć i nazajutrz znów pojawiłem się w jego pokoju. Zacisnął zęby, kiedy napotkał mój wzrok.

Kończył się miesiąc urlopu bezpłatnego, który wziąłem, aby wystać kolanko i naprawę zlewu, zbliżał się Nowy Rok, kiedy mrużąc oczy zaproponował:

— A może wpadnie pan do mnie na sylwestra? Przyzwyczaiłem się do pańskiej obecności. Nawet w święta było mi jakoś dziwnie bez pana. Wpadnie pan? Ulica Małych Kroków 6. Będziemy się bawić przy telewizorze — zażartował.

Wziąłem trzy butelki szampana i poszedłem. Wypiłem bruderszaft z panem domu, żoną i ich dorosłym synem.

Wymieniliśmy noworoczne podarki i o godzinie w pół do pierwszej pożegnałem gospodarzy. Po powrocie do domu runąłem jak długi na łóżko i zasnąłem spokojnie po raz pierwszy od miesięcy.

Drugiego stycznia już czekałem na kierownika. Na mój widok rozjaśnił się i klepiąc mnie po ramieniu oznajmił konfidencjonalnie:

— Widzisz, stary, mam do ciebie prośbę. Nikt nie powinien mi zarzucić, że przyjaciel — przyjacielowi... rozumiesz. Gdybyś mógł od dzisiaj siedzieć w pokoju mego zastępcy. Jeszcze powiedzieliby, że pleni się tu prywata...

Mówiąc to był piękny. Poczułem się dumny, że taki człowiek zaszczyca mnie swoją przyjaźnią. □

STANISŁAW SYRYCKI
(debiut)

UCZCIWY ZNALAZCA

Zgubiłem portfel z dokumentami i otrzymaną wypłatą. Pobory są jedynym źródłem utrzymania całej rodziny. Stratę tę odczuje przede wszystkim żona. Ma ona na głowie cały dom, a do dyspozycji tylko moją wypłatę. To, że do tej pory wiązaliśmy koniec z końcem było jedynym znanym mi z autopsji cudem gospodarczym. Ale opatrzności należy wychodzić naprzeciw. Dlatego też po spokojnym przeanalizowaniu zaistniałej sytuacji, podjąłem planowe i systematyczne działania.

W pierwszej kolejności przekonałem żonę, że moja instytucja wyczerpała już fundusz płac za ten miesiąc i wypłata nastąpi dopiero w połowie przyszłego.

Udało się — uwierzyła!

— Już od kilku lat powtarzam, że twoja firma powinna ogłosić upadłość — stwierdziła żona z gorzką satysfakcją.

Dobra nasza, pomyślałem i za pożyczone od kolegi pieniądze dałem do miejscowej gazety ogłoszenie kończące się słowami: „Uczciwemu Znalazcy przekażę w nagrodę 25 procent znajdującej się w portfelu gotówki".

Uznałem to za ponętną propozycję. Jest to mniej więcej tyle, ile, według mego ulubionego telewizyjnego interpretatora rzeczywistości, winien dorobić do poborów każdy obywatel PRL, aby zjeść dodatkowy plasterek sera.

Właśnie kończyłem biurową herbatkę (bez cukru), gdy radośnie zadzwonił telefon.

— Chciałem z panem Zdzisławem K. — rozległ się w słuchawce zachrypnięty głos.

— Słucham pana.

— Moje uszanowanko, tu mówi Uczciwy Znalazca...

— Wspaniale — zawołałem — kamień z serca!

— Dobra, dobra, momencik. Postanowiłem zwrócić panu zgubę. Nagrodę, oczywiście, przyjmuję. Muszę jeszcze tylko pogadać ze swoją starą — ostatecznie to dość poważna decyzja. Niech pan poczeka, na dniach dam panu cynk, co i jak — zakończył Uczciwy Znalazca.

Po kilku dniach znowu odezwał się oczekiwany przeze mnie telefon.

— Pan Zdzichu? Fajnie. Gadałem z żoną. Mówi, że jej, jako prawowitej połowicy Uczciwego Znalazcy, też się należy dola, drugie tyle. Co pan na to?

Błyskawicznie dokonałem oceny sytuacji: nie znam gościa, nie wiem jak się nazywa, gdzie mieszka. Mówi chyba z innego miasta; jeżeli nie wyrażę zgody na tę propozycję — stracę wszystko.

— Dobrze, kochany, odpalam także szanownej małżonce jedną czwartą część forsy.

— Morowy z pana facet, mamuśka ucieszy się, jak jej to powiem. To, do usłyszenia — zachrypiał Uczciwy Znalazca i bezpardonowo odłożył słuchawkę.

Oczami wyobraźni ujrzałem sylwetkę Uczciwego Znalazcy pospiesz-

STANISŁAW DĄBROWSKI

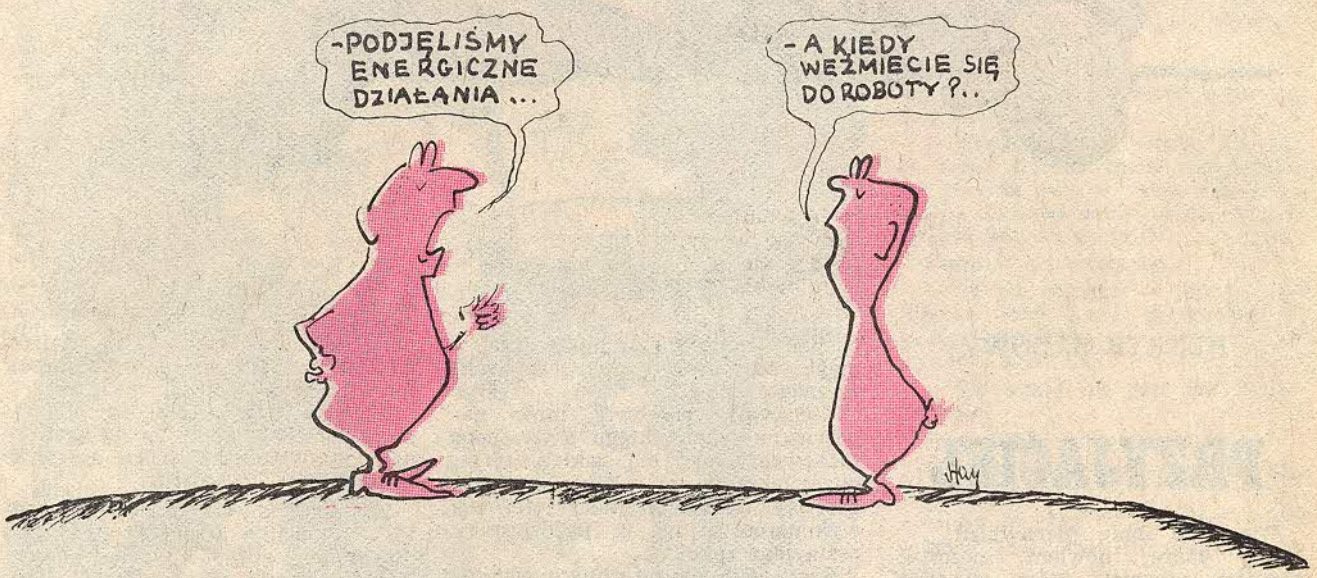

ZOFIA KULIKOWA
(debiut)

POETA NA KRYZYS

Poeta W. pracuje nad tekstem. Mierzy wysoko — zaplanował wyprodukowanie liryku wysokogórskiego na najwyższym poziomie awangardy przy najniższym zużyciu surowca.

Oto pierwszy szkic:

tatry we mnie
na sznurku pamięci
ja w tatrach
kopniakiem w lawinę
słońca zresztą

Po gruntownym choć krótkim namyśle, poeta W. odrzuca zbędne ozdobniki słowne.

Oto, jak wygląda druga redakcja wiersza:

tatry
na sznurku
ja w lawinę
zresztą

Aby zintensyfikować wrażenia czytelnika i zmniejszyć materiałochłonność, W. dokonuje następnej korekty.

Powstaje więc ostateczna wersja utworu:

na sznurku
ja
z
resztą

W ten genialny w swej prostocie sposób ekonomista z wykształcenia i poeta z bożej łaski W. zaoszczędził kilka stron papieru, którego nie zapisał, wiele słów, których nie wprowadził oraz czas, którego nie zużył na myślenie.

Tak narodziła się perła tatrzańskiej liryki. Awangardowo, szybko i niedrogo zresztą. □

nie kierującą się w stronę miejsca, gdzie można przepłukać zachrypnięte gardło.

Po trzech dniach usłyszałem w słuchawce zmęczony głos Uczciwego Znalazcy:

— Zdaje pan sobie sprawę z tego, ile ja tracę, postępując tak uczciwie wobec pana?

— No, tak, oczywiście — odpowiedziałem z pewnym niepokojem.

— Więc przyznaje pan, że słusznie należy mi się wdzięczność?

— Niewątpliwie...

Uczciwy Znalazca chrząknął, zapewne chcąc dać mi możliwość psychicznego przygotowania się do kolejnej propozycji nie do odrzucenia.

— Powiem panu szczerze — zachrypiał mi do ucha — nie wiem, czy mi się w życiu kiedykolwiek przydarzy taka szansa, aby zasłużyć na ludzką wdzięczność. A nie jestem już taki młody...

— Dobra, niech pan wali prosto z mostu — przerwałem dramatyczne wyznania Uczciwego Znalazcy.

— Panie Zdzichu, chciałbym, aby o tym moim humanitarnym uczynku dowiedzieli się moi znajomi i krewni. Ja już to sam załatwię. Zamówię w pana imieniu podziękowania dla mnie w koncercie życzeń. Potrącę z pańskiego portfela na to konto. Zgadza się pan?

— Muszę — odpowiedziałem zgodnie z rzeczywistością.

— W porządku, panie Zdzisieńku, jutro wysyłam panu zgubę za zaliczeniem pocztowym! Buźka!

Nadchodziła już trzecia dekada miesiąca. Wzięta z kasy biurowej zaliczka wyczerpała się, gdy nadszedł długo oczekiwany przeze mnie moment. Listonosz przyniósł do biura paczuszkę. Rozpakowałem ją drżącymi rękami. — Jest! Jest portfel, dokumenty i... nic więcej.

Następnego dnia zadzwonił telefon i usłyszałem poufały głos Znalazcy:

— Panie Zdzichu, otrzymał pan przesyłkę?

— Otrzymałem, ale bez pieniędzy — niemal krzyknąłem, zachowując jednak resztkę nadziei w głosie.

— Panie Zdzisiu, tylko spokojnie. Niech się pan skupi i liczy: nagroda dla Uczciwego Znalazcy, dola dla małżonki, laurka w telewizyjnym koncercie życzeń... Czy pan wie, ile kosztują życzenia w kolorze?

— Nie mam pojęcia ani koloru — odpowiedziałem bezbarwnym głosem.

— No, właśnie! A telefony zamiejscowe? Czy pan wie, skąd ja do pana dzwoniłem?

— Skąd mogę wiedzieć? — jęknąłem z rezygnacją w słuchawkę.

— No i bardzo dobrze. Panie Zdzichu — zamruczał pojednawczo Uczciwy Znalazca — musiałem do tego całego interesu dopłacić jeszcze 50 zł, uszczuplając sobie i żonie honorarium po 25 zł. Jest więc mi pan krewny jeszcze piwko, ale niech tam! Nie jestem drobiazgowy. Aha, jeszcze jedno, panie Zdzisiu, niech pan uważnie ogląda telewizję! Miło chyba będzie panu usłyszeć: „bezinteresownemu Zbychowi S. — dozgonnie wdzięczny i zobowiązany Zdzisław K.".

Od tego czasu uprawiam regularnie wraz z żoną długie spacery. Planuję je zawsze w czasie emisji telewizyjnego koncertu życzeń, bez względu na pogodę. □

BOHDAN PIĄTKOWSKI

JOGIN NA URZĘDZIE

— Gdyby pan przez chwilę pomyślał, panie Dyrektorze — zauważyłem rozzłoszczony — to nigdy nie zagrałby pan kierem mogąc spodziewać się za ręką renansu w tym kolorze.

Literat uśmiechnął się.

— Lekkomyślnie szermuje pan zarzutem bezmyślności — rzekł. — Mistrz Cyprian powiadał: Do beztęsknoty i do bezmyślenia... Tęskno mi, Panie. Nie wyśmiewajcie tego stanu, gdyż kusi on ludzi od wieków. Stąd też, gdyby nie obawa przed tym co niecofnione, śmierć nie byłaby tak straszna.

— Byle nie przed skończeniem robra — skrzywił się Mecenas. — Zresztą po co wyciągać z arsenału sytuacje ostateczne, jeżeli samo życie obfituje w liczne i bliskie analogie. Na przykład historia magistra Sinicy. Otóż ten jegomość wyczytał gdzieś, że jedną z podstawowych umiejętności jogina jest sztuka niemyślenia. Sprawia ona adeptom niemało trudności, gdyż wówczas, kiedy człowiek jest przekonany, że nie myśli, po prostu myśli, że nie myśli. „A gdyby tak wykorzystać momenty intelektualnej bezczynności — myślał magister Sinica — na przykład czekania w kolejkach, jazdy tramwajem, przesiadywania na nudnych konferencjach, to mógłby człowiek wypocząć co się zowie i wtedy, kiedy nadejdzie pora działania byłby daleko sprawniejszy".

— Coś w tym jest! — zapalił się Literat. — Bez przeszkód można by wtedy pracować całe noce!

— A czy magister Sinica coś przez to osiągnął? — zapytał Dyrektor.

— Nie od razu! Dopiero z czasem zaczął doświadczać uczucia miłego odprężenia i spokoju, kiedy myśl odpływa i z człowieka zostaje tylko zewnętrzność. To przedłużenie czasu spoczynku zaczęło szybko przynosić błogosławione następstwa. Czuł, że osiąga większą sprawność. I szefowie go dostrzegli, i stawiano go za przykład. Posypały się nagrody, podwyżki, awanse.

— Proszę, więc jednak! — Literat zaciekawiony podparł dłonią brodę zupełnie tak, jakby pozował do zdjęcia mającego ozdobić pierwszy tom „Dzieł Wszystkich".

— I on też był upojony sukcesem — ciągnął Mecenas. — Początkowo stosował tę psychoterapię z umiarem, ale potem zaczął tracić samokontrolę. Wreszcie doszedł do tego, że łatwiej mu było zapaść w podobny trans, niż się z niego otrząsnąć. Coraz bardziej zaczął w nim gustować, aż upodobanie to przerodziło się w rodzaj... narkomanii. Magister Sinica spostrzegł, że przestał panować nad tym osobliwym stanem. Co więcej, ta bezmyślna bezwolność owładnęła nim bez reszty i na stałe.

— Oczywiście, awanse i wyróżnienia skończyły się? — Dyrektor wyraźnie był poruszony.

— Skąd znowu! Dalej szedł w górę. Zwierzchnicy mówiąc o nim używali nowych określeń: „niezwykle opanowany i taktowny", „wysoce zdyscyplinowany", „idealnie zrównoważony". Zresztą w tym czasie zaszedł już tak wysoko, że teraz od niego oczekiwano podpisu na decyzji o awansach innych.

— Niebywała historia! — zachłysnął się Literat. — Wykorzystam ją w mojej nowej powieści.

— Tylko, podobnie jak w innych przypadkach czerpania z życia, musi pan się zastrzec, że jest to fantazja autora — podpowiadał Dyrektor.

— I niech pan nie zapomni dodać, że wszelkie podobieństwa do konkretnych osób i sytuacji są całkowicie przypadkowe. W przeciwnym bowiem razie napytałby pan sobie setek wrogów — uzupełnił Mecenas zbierając ze stołu karty. □

WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI

ODA DO SZEWCA

Szewcze mój miły, w każdej był dobie
fach twój potrzebny — wieki go strzegą,
więc czemu dzisiaj mówisz o sobie:
„pracownik punktu usługowego"?

Jakiż to demon etymologii
profesję twoją tak zurzędnicza?
Pluń na to wszystko i pokaż rogi,
nie wstydź się nigdy swego oblicza!

Bo wszakże mistrz twój, Kiliński zacny,
z dumą podkreślał swój zawód szewca
i wszedł na pomnik, co mu rodacy
wybudowali hojnie, od serca!

Rób więc buciki dla pięknych panien —
niech w nich zostaną słońca odpryski,
niech w nich twej pracy cząstka zostanie
i myśl, że jesteś potrzebny wszystkim!

Wybacz więc, szewcze, że swym przytykiem
tej dziwnej modzie tutaj przyganiam!
Ja także wolę być satyrykiem,
niż „twórcą tekstów do rozśmieszania"!

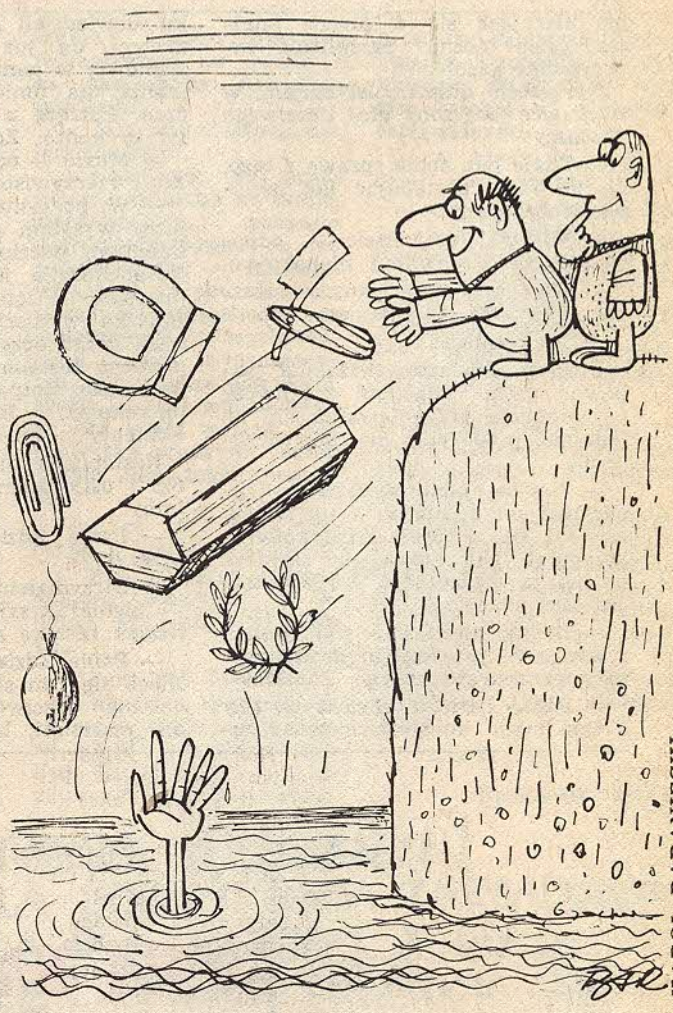

KAROL BARANIECKI

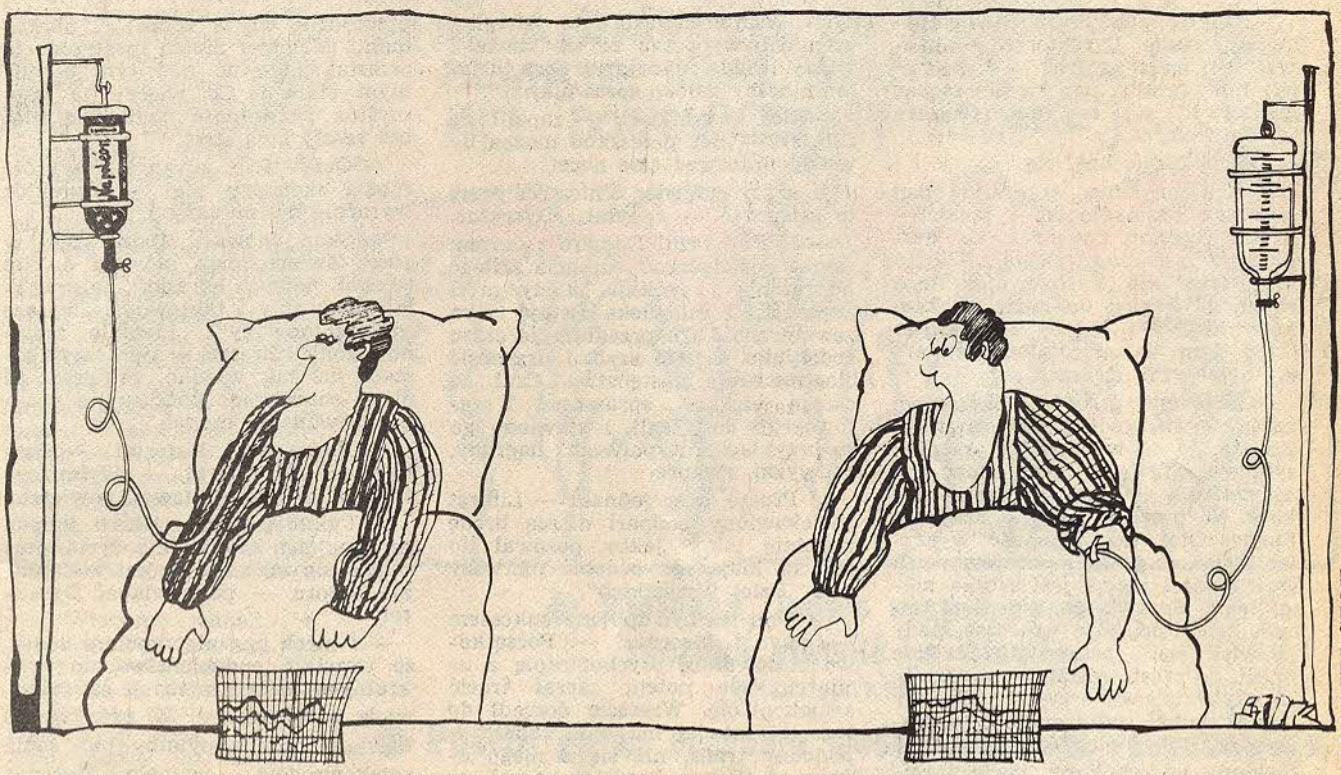

ANDRZEJ STOK

Kildare i inni

Skończył się trzeci odcinek „Shoguna" i na horyzoncie zrobiło się jaśniej dla Richarda Chamberlaina. Poduczył się japońskiego, wyszedł z więzienia, przywdział kimono i zdobył zaufanie lokalnej władzy.

— Wygląda na to, że on chce się tam zadomowić — nie bez zdziwienia stwierdziła babcia.

— Należy się domyślać, że ma ambitne plany i że to on zostanie szogunem, choć nie wyobrażam sobie, jak to jest możliwe — zgodził się dziadek.

— W takim komiksie wszystko jest możliwe — lekceważąco skrzywił się Konio, który przed trzema godzinami wpadł na chwilę w poszukiwaniu plasteliny dla Bożydarka.

— Za nic bym nie rozpoznała tego Chamberlaina — powiedziała babcia. — Nie widzę w nim nawet rodzinnego podobieństwa z doktorem Kildarem.

— Czy to prawda, że ten Kildare był taki śliczny? — z niedowierzaniem zapytała Lila.

— Prześliczny! I taki czyściutki, zadbany, wszystkie się w nim kochałyśmy — wspomniała ciocia Helenka.

— Tu jest niby przystojny, ale taki jakiś niechlujny, jakby niedomyty, chociaż go ciągle ci Japończycy kąpią — wybrzydzała dalej Lila.

— Używając przemocy — dorzucił dziadek.

— Faktycznie, widać, że on zamierza zrobić karierę. Nawet nie chce zadawać się z kobietami — Konio ocknął się z zamyślenia.

— A cóż to ma wspólnego? — obruszyła się ciocia Helenka.

— Jak to! Kobiety demobilizują, osłabiają wolę i ambicję, a jak się trafi sprytna, albo podstawiona przez wrogów, to może człowieka wykończyć — wyłożył swą myśl Konio.

— A skąd ty to wiesz? — zainteresowała się babcia.

— Z historii, tam się aż roi od takich przypadków — wyjaśnił z godnością Konio.

— Nieprawda — zaprotestowała ciocia Helenka. — Ja byłam niedawno na czechosłowackim filmie „Anielska diablica" i tam było wprost przeciwnie. Dzięki kobietom mężczyźni odzyskiwali chęć do życia, zapał do pracy, a nawet rozwiązywali trudne problemy zawodowe.

— To musiały być mądre, kochające i wykształcone kobiety — rzekła z uznaniem babcia.

— Bo ja wiem — niepewnie powiedziała ciocia Helenka. — W każdym razie dokształcały się kiedy tylko miały wolną chwilę. A jedna, ta tytułowa, to nawet miała trzy klasy szkoły handlowej. I ona wyszła najlepiej, bo się z nią ożenił bardzo ważny i bardzo bogaty biznesmen. I kupił jej ten cały zamek razem z lokalem.

— Jakim lokalem? — podejrzliwie zapytała babcia.

— No, z tą „Riwierą", nocnym lokalem, w którym toczy się akcja — wytłumaczyła ciocia Helenka.

— A ja myślałam, że rzecz dzieje się w jakimś arystokratycznym pałacu — rozczarowała się babcia.

— Ale ten lokal był na wysokim poziomie — podjęła próbę obrony ciocia Helenka. — Wszyscy prominenci tam bywali bardzo sobie chwalili. Jednego z nich to nawet gra doktor Sztrosmajer ze „Szpitala na peryferiach". Też jest prominentem, całkiem załamanym psychicznie i tam odzyskuje wiarę w sens życia i chęć do pracy.

— A kiedy rzecz się dzieje? — zainteresował się dziadek.

— Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych.

— To były czasy! — westchnął dziadek, chociaż niewiele z tych lat mógł pamiętać. — Trzeba to koniecznie zobaczyć.

— Ja bym też poszedł, tylko nie mówcie Zuli co to za film, bo mnie nie puści — poprosił Konio.

— Wprost przeciwnie, zabierz ją do kina, niech zobaczy jak się mężczyźnie przywraca wiarę w życie — poradził mu dziadek.

ANDRONICUS

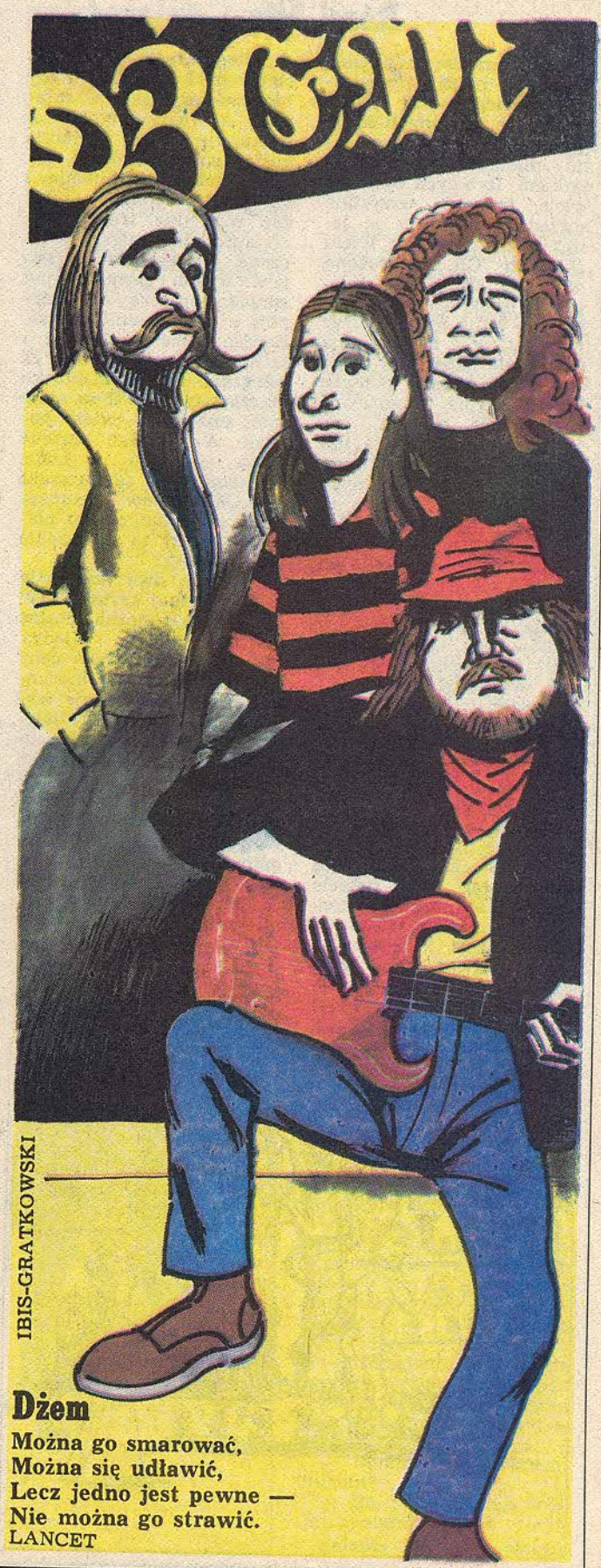

Dżem

Można go smarować,
Można się udławić,
Lecz jedno jest pewne —
Nie można go strawić.
LANCET

niezależny organ Adama Bienkowskiego

Rózgi biją...

...tym razem Centralę Rybną w Łodzi za wędzonego karpia. Jak wiemy w okresie minionych świąt po raz pierwszy od wielu lat mieliśmy go pod dostatkiem. Ryb tych było tak wiele, że nie wszystkie sprzedano i można je jeszcze dziś nabyć w wielu sklepach CR, zamrożone, w cenie 295 zł za kilogram. Apetycznie nie wyglądają i nic dziwnego, że przy tej cenie nie znajdują zbyt wielu nabywców. Ktoś wpadł na mądry pomysł, by te karpie uwędzić. I rzeczywiście, okazało się, że ta wędzona rybka ma znakomity smak i na pewno znajdzie chętnych do kupna. Wszystko to byłoby w porządku gdyby nie cena. Oczywiście, umowna i wynosi 1150 zł za kilogram. Ciekaw jestem czy Centrala Rybna uważa swych klientów za idiotów, czy za milionerów? Ktoś musiał tę cenę wymyślić i ktoś zatwierdzić. Nikt mi nie wmówi, że proces wędzenia jest tak trudny i tak kosztowny, że trzykrotnie przewyższa cenę i tak bardzo drogiej ryby.

Aby było weselej i w komplecie, to w łódzkich „Delikatesach" obok tego najdroższego w świecie karpia leżą sterty pieczonych kurczaków. Cena umowna za 1 kilogram — 850 zł. Pewne ilości kurczaków poza reglamentacją skierowano do wolnej sprzedaży w cenie 350 zł za kilogram. W Łodzi, niestety, te kurczaki nigdy nie znalazły się w sklepach, bowiem natychmiast wykupuje je już w hurcie gastronomia. Wiadomo, jak dziś karmi gastronomia i po jakich cenach, toteż nie wszystkie trafiają na restauracyjne talerze. Pieczone w restauracji jako tzw. wyrób garmażeryjny sprzedawane są do sklepów z odpowiednią marżą. Bardzo lubię kurczaka i jeśli kupię go po 350 zł za kilogram i dodam kostkę margaryny za 23 zł to mam tani, smaczny i świeży posiłek. A dlaczego restauracja „Tivoli" w Łodzi dostarczająca te kurczaki do „Delikatesów" zmusza mnie do dodatkowego płacenia 500 zł za upieczenie tego ptaszka?

To tylko dwa przykłady z tej obłędnej karuzeli cen, od której można dostać zawrotu głowy. Kiedyś, jak pamiętam, były ceny tzw. sztywne i wolnorynkowe, a za spekulację wysyłano do obozu w Mielęcinie. Dziś mamy ceny umowne i regulowane. Praktyka wykazuje jednak, że są i trzecie ceny — rozregulowane. Najwyższy czas, by je doregulować. I nie tylko ceny, lecz również tych, którzy za ich pośrednictwem zamierzają pokryć straty wynikłe z marnotrawstwa i przerostów administracyjnych swych przedsiębiorstw.

— *Bierzesz olbrzymie ilości płótna, czy masz tyle zamówień?*
— *Nie, sprzedaję je na prześcieradła.*

Kawały z brodą, ale malutką

W restauracji gość zamawia ziemniaki polane sosem i szklankę herbaty.
— Czy pan jest na diecie? — pyta kelner.
— Nie, ale jestem w podróży służbowej i chcę wyżyć z diety!

* * *

— Przyczyną pana wszelkich niedomagań jest alkohol!
— Dziękuję panie doktorze, pan jest pierwszym, który nie zwala winy za to na mnie!

* * *

— Twój sąsiad obraził twoją żonę mówiąc, że ma tyle rozumu, że zmieściłby się w naparstku, a ona na to nie zareagowała!
— Ona w życiu nie widziała naparstka!

* * *

— Za mojej młodości muzyka była łagodniejsza, bardziej melodyjna!
— Ależ babciu, ja teraz włączyłem mikser, a nie magnetofon! — odpowiada wnuczek!

* * *

— W pracy dostałam dwa bilety na „rokowisko" pójdziemy?
— Po co, wiesz przecież, nie dosłyszę na jedno ucho!
— Nie szkodzi do tego drugiego możesz włożyć watę.

* * *

— Adasiu, nie rozumiem ciebie, masz młodą, piękną żonę i ciągle na nią narzekasz!
— Broneczku! Popatrz na moje nogi. Mam na nich piękne i nowe buty, a jak one cholernie uwierają!

* * *

— To pani wyszła za mąż z prawdziwej miłości? — pyta sędzia na sprawie rozwodowej.
— To prawda, ale rozwieść się chcę ze zdrowego rozsądku!

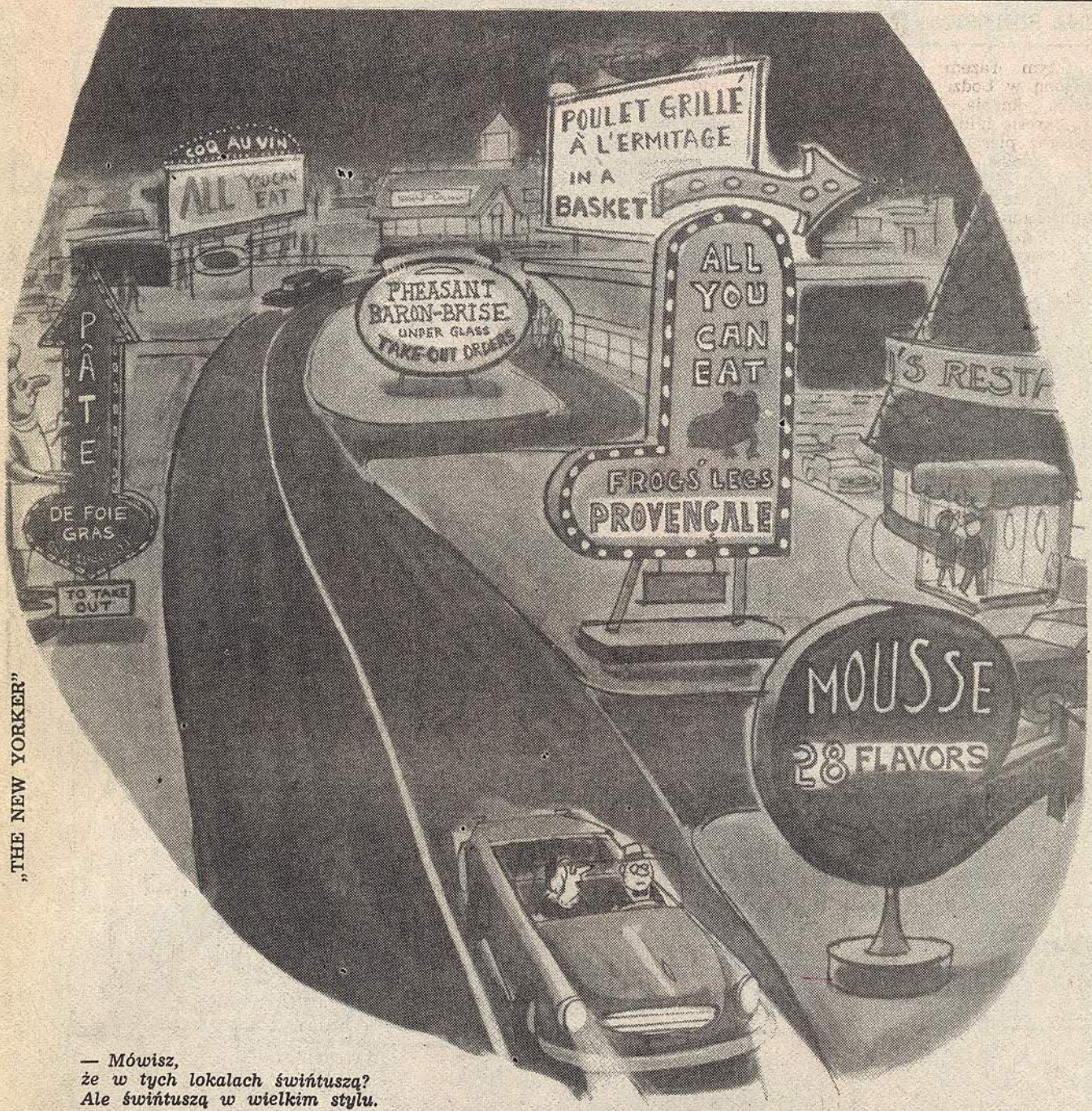

„THE NEW YORKER"

— Mówisz,
że w tych lokalach świńtuszą?
Ale świńtuszą w wielkim stylu.

karuzela

Czasopismo satyryczne Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Adres redakcji: 90-103 Łódź, ul. Piotrkowska 96. Telefony bezpośrednie: 33-14-32, 84-06-46. Centrala: 32-93-00. Redaguje zespół: WOJCIECH DRYGAS (redaktor naczelny), ADAM BIEŃKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), BOHDAN PIĄTKOWSKI (sekretarz redakcji), STANISŁAW GRATKOWSKI (kierownik działu graficznego), HALINA SIBIŃSKA (zastępca kierownika działu graficznego), STEFANIA MAŁEK, ALEKSANDRA ZIMIŃSKA (red. techniczni), KAROL BADZIAK (publicysta). Stale współpracują: JERZY DĘBSKI, JANUSZ PRZYBYSZ, TERESA WOJCIECHOWSKA. Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", 90-103 Łódź, ul. Piotrkowska 96. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne 92-332 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Rysunków i tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i adiustacji nadesłanych tekstów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej wynosi 360 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw w Warszawie, ul. Towarowa 28. Numer zamknięto 1985.02.01. Nr indeksu 36254. Zam. 111/85. P-5. Opracowanie graficzne numeru STANISŁAW GRATKOWSKI.

PL ISNN 0449-9026

HALINA SIBIŃSKA